

Dylematy obwoźnego historyka

3 grudnia 2017

Jej oczy stawały się coraz większe. Usta drżące z niepewności. Nogi lekko ugięte, policzki zapadłe. Bładość cery i włos z nagła zelektryzowany. – Ale jak to, bez prezentacji?! – zapytała, jakbym co najmniej przyznał się do rezygnacji z używania prądu w swoim prywatnym domu...

„Historia”, obraz Fredericka Dielmana

Dziś odrobina prywaty. Ojcowie dominikanie mają jedną kluczową zasadę: głosić Ewangelię wszędzie, każdemu i na wszystkie możliwe sposoby. Swego czasu zaadaptowałem ją na własne potrzeby obwoźnego opowiadacza historii. Tak najpierw trafiłem do Dziecięcego Uniwersytetu Ciekawej Historii, a potem do muzeum, przy okazji wykonując setki mniejszych lub większych chałtur. Cel był jeden – opowiadać ludziom o historii wszędzie, każdemu i na wszelkie możliwe sposoby.

Współczesny słuchacz wydaje się być wymagający. Nie zadowolili się byle referatem. Oczekuje teatru, przy czym ja te oczekiwania w pełni rozumiem. Historycy – może wyłączając tych z natury stworzonych do odkrywania najgłębszych zakamarków historii – są artystami. Lud potrzebuje ich do odrobiny rozrywki, może na wyższym poziomie, ale zawsze rozrywki. Obwoźni historycy jak kuglarze jeżdżą od wioski do wioski, aby dać rozradowanej gawiedzi odrobinę oderwania od rzeczywistości. Pozwalają zapomnieć, a przy okazji mogą zostawić jaką jedną lub dwie mądrości.

Nie ma co szczególnie uciekać od takiego losu. Społeczne zapotrzebowanie na historyków zaczęło się od ogniska i dyżurnego opowiadacza. Niepotrzebnie wielu z nas od tego dziedzictwa chce się odcinać. Oczywiście są i tacy, którzy tak mocno przejęli się rolą cyrkowca, że uprawiają już wyłącznie iluzję. Sprzedają historie nieprawdziwe i bałamutne, byle wzbudzały emocje i poklask. Nie o takich jednak piszę. Piszę o

tych wszystkich, których ambicją jest historyczna ewangelizacja, otwieranie, skrzypnięcie po skrzypnięciu, nazbyt zamkniętych drzwi świata nauki.

Ci właśnie mają czasem w trakcie swoich podróży problem. Stawiane wymogi są zestandaryzowane. Dobrze mówić z głowy, co akurat wydaje się być naturalne, ze swadą i żartem (bo jakżeby inaczej) i... z prezentacją multimedialną. Problem w tym, że owa prezentacja nie jest już dodatkiem, fakultatywnym suwenirem sprawnego opowiadacza. Ona jest warunkiem sine qua non, by ktokolwiek chciał cię słuchać.

Ostatnio miałem okazję wygłosić referat dla pewnego zacnego grona z Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Sala wypełniała się powoli ludźmi 55+. Starsze Panie z ciekawością wyglądały referenta, a Panowie umawiali się na partię brydża, tę tragicznie zapomnianą przez młodych sztukę spędzania wolnego czasu. Przemknąłem po angielsku do katedry i zacząłem rozkładać fiszki z notatkami, gdy nagle zza moich pleców wyłoniła się postać głównej organizatorki, wraz ze znudzonym nieco całą sytuacją osobnikiem płci męskiej.

– Pan będzie prowadził wykład? – zapytała. – Przynajmniej się postaram... – wprowadziłem element żartu. – To pan technik. – przedstawiła mi współtowarzysza, który jak za chwilę się okazało, miał jednak imię. – Pan Marek wszystko panu podłączy, Panie Marku proszę przynieść komputer i rzutnik. – wydała rozkaz jak Sobieski pod Wiedniem. – Nie, nie... dziękuję, dziś sam wykład. – odpowiedziałem.

Jej oczy stawały się coraz większe. Usta drżące z niepewności. Nogi lekko ugięte, policzki zapadłe. Bładość cery i włos z nagła zelektryzowany. – Ale jak to bez prezentacji?! – zapytała, jakbym co najmniej przyznał się do rezygnacji z używania prądu w swoim prywatnym domu, lub kazał odłączyć wodę. – No chyba jakoś dam radę. – odpowiedziałem z uśmiechem. Usiadła w pierwszym rzędzie z zaciśniętymi zębami. Przeplatane palce zdradzały nerwowość, jakby wyczuwała zbliżającą się

kompromitację.

A potem zacząłem mówić, bez prezentacji. Do końca wykładu nikt nie wyszedł. Odetchnęła z ulgą. – Tak bardzo się bałam! – powiedziała na koniec. Gdyby kamień spadający z serca był realny, w posadzce domu kultury pozostałby wielki lej. I tylko jedna myśl nie pozwalała mi zaznać spokoju: ile lat życia przez ten mój brak prezentacji straciła.

W czasie drogi do domu zacząłem się zastanawiać, co się stało ze sztuką mówienia. Czy jest z nią już tak źle, że musi świecić, błyskać i huczeć, by ktokolwiek chciał posłuchać co piszczy pomiędzy tym szaleńczym rozgardiaszem? Ukryta w umyśle nutka konserwatysty zatęskniła za czasami, gdzie wykładowca do dyspozycji miał tylko słowo. Słowem pobudzał wyobraźnię, budował świat, wydarzenia, sytuacje. Każde słowo pieściło umysł, przenosiło w czasie.

Takich mistrzów spotkałem w swoim życiu kilku. Szczególnie pamiętam jednego z nich – prof. Waldemara Cerana, wybitnego starożytnika i bizantynologa. On nie potrzebował prezentacji. Nie musiał vlogować, czy przebierać się za hoplitę. Miał tylko słowo, a ze słowem czynił cuda. Jeśli tęsknie za czymkolwiek, to za tą godziną wykładu z historii starożytnej.

Może więc czasem warto zaryzykować. Nie zrobić prezentacji, nie wziąć rekwizytów, nie zrobić z siebie pajaca, a oddać się jedynie słowu. Udowodnić, że jako historycy jeszcze to potrafimy!

Autorstwo: Sebastian Adamkiewicz

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)